

Wywiad z Martą Bogdanowicz przeprowadzony przez jej córkę – Katarzynę Marię Bogdanowicz

Katarzyna Maria Bogdanowicz: Mamo, pamiętam, jakie wrażenie wywarła na mnie Twoja opowieść o tym, jak wybierałaś się na studia. „Szło się” wówczas na chemię, bo w tamtych czasach istniało powszechne przekonanie, że takie studia zapewnią bezpieczną przyszłość. Ty jednak nie uległaś namowom rodziców i wybrałaś kierunek egzotyczny w tamtych czasach: psychologię. Byłaś młodszą niż dzisiejsi maturzyści. Czy możesz jeszcze raz opowiedzieć mi tę historię?

Marta Bogdanowicz: To był początek lat 60. i rzeczywiście „szło się” na chemię, ewentualnie na architekturę.

KMB: Czy Twoje najbliższe koleżanki także wybrały te kierunki?

MB: Nie wszystkie. Moje „niepraktyczne” przyjaciółki poszły na archeologię i anglistykę. Nie wydawało się wówczas, że ten język będzie kiedyś w powszechnym użyciu. Mieszkaliśmy za „żelazną kurtyną”. Jednak inteligentni prymusi wybierali Politechnikę Gdańską, bo „przyszłość narodu” nierozrwalnie wiązała się z budowaniem przemysłu ciężkiego. Jawnym tego dowodem była eksplozja plastiku we wszystkich dziedzinach życia. Nawet plastikowe guziki do pościeli zastąpiły te z masy perłowej, które od zawsze znajdowały się w naszym domu, i z czasem w rękach naszego przyjaciela artysty awansowały do miana macicy perłowej do wyrobu biżuterii.

KMB: Miałaś zostać inżynierem, chociaż wychowywałaś się w rodzinie humanistów?

MB: Rzeczywiście, wychowywałam się w kulcie profesora Stefana Szumana i Uniwersytetu Jagiellońskiego, bowiem moi rodzice byli studentami na specjalizacji „psychologia” i jego magistrantami. Tam też się poznali. Mimo to chcieli mnie widzieć na chemii, „bo ktoś w tym domu musi zarabiać na życie”. I ja zostałam wydelegowana. Nie dziwię się tym preferencjom, gdyż „klepali

biedę” w ciężkich czasach powojennych i w reżimie PRL-u, gdy psychologowie zepchnięci byli na margines zawodowy. Mama pracowała w aptece szpitalnej jako księgowa, potem jako asystent psychiatryczno-społeczny, ojciec uczył historii w szkole.

KMB: Nie uległaś modzie i naciskom rodziny. Jak ci się to udało?

MB: Początkowo jako sumienna uczennica uczęszczałam na zajęcia przygotowawcze do egzaminów wstępnych na chemię. Jednak przerażała mnie ogromna aula Politechniki Gdańskiej z jej rozległym, pogrążonym w mroku audytorium, pełnym obcych ludzi, i jakże oddaloną, nikłą, odrealnioną sylwetką wykładowcy. Ta odległość stwarzała wrażenie teatru, uniemożliwiała osobisty kontakt. Odpychał mnie formalny klimat tych wykładów, brak „czynnika ludzkiego”. Naprawdę nie wiem, jak to się stało, bo nic konkretnego wówczas się nie wydarzyło, ale tuż przed maturą i pisemnym oświadczeniem o planowanych studiach doznałam olśnienia i oświadczyłam: „Idę na psychologię!”. Oznaczało to, że opuszczam dom, wyjeżdżam do Krakowa, a miałam wtedy 17 lat. Gdy pojawiła się nagle ta niespodziewana myśl w mojej głowie, uświadomiłam sobie, że „to i tylko to” tak naprawdę mnie pociąga. O słuszności tej decyzji przekonało mnie niezwykle, niemal fizyczne odczucie: jak gdyby ogromny ciężar spadł z mojej głowy i ramion. Doznałam uczucia niezwyklej „lekkości” i radości z dokonanego wyboru. Uświadomiło mi to, jak „nie-moja” była myśl studiowania na Politechnice.

KMB: Co na to moi dziadkowie, a Twój rodzice?

MB: Gdy oznajmiłam tę nowinę, żałoba okryła całą rodzinę, rodzice byli niepokieszeni. Mama, psycholog, dość szybko mnie zrozumiała, ale ojciec jeszcze przez cały pierwszy rok wysyłał do mnie listy, w których udawał, że wierzy, iż studiuje na chemii. To wydarzenie uczy, że należy zaufać intuicji dzieci, nawet gdy mają tak nierozsądne pomysły, jakim był w tamtych czasach wybór studiów psychologicznych.

KMB: W którym roku zdawałaś maturę?

MB: W 1961.

KMB: Wyobraźmy sobie, że można cofnąć czas. Jest rok 1961, właśnie odbierasz świadectwo dojrzałości. Czy gdybyś jeszcze raz stała przed wyborem studiów, znowu wybrałabyś psychologię?

MB: Niewątpliwie tak. Mój pomysł studiowania psychologii miał swoje źródła przeze mnie wówczas nieuświadomione. Gdyby się bliżej przyjrzeć przyczynom mojej decyzji, to nietrudno je odnaleźć. Były to moje wizyty w Wojewódzkiej Przychodni Zdrowia Psychicznego w Gdańsku, w gabinecie mojej

mamy. Po upadku stalinizmu, na fali tak zwanej odwilży październikowej 1956 roku, mogła nareszcie podjąć pracę w swoim zawodzie, chociażby w charakterze „asystenta psychiatryczno-społecznego”. Głęboko przeżywała swoją nową i fascynującą ją rolę psychologa dziecięcego. Co najmniej tak samo istotne były moje doświadczenia gromadzone od 14. roku życia, gdy znalazłam się w drużynie harcerskiej prowadzonej w stylu przedwojennego skautingu przez wspaniałą osobę – a właściwie Osobowość – Krystynę Trappową. Tam więc uczyłam się być z innymi i dla innych. Z jej inspiracji i przy jej pomocy, mając 16 lat, zaczęłam prowadzić moją pierwszą drużynę harcerską. Obserwowałam i uczyłam się od dzieci. Poznawałam zasady pracy z pojedynczym dzieckiem i radzenia sobie z grupą. Na przykład dowiedziałam się wówczas, „że zajęcia dla dzieci nie powinny być zbyt trudne, bo dzieci się zniechęcą, ani zbyt łatwe, bo będą się nudzić”. To były moje pierwsze zajęcia z psychologii stosowanej: rozwojowej, wychowawczej i nieco z psychologii klinicznej dziecka.

KMB: Czy nie rozczarowały Cię studia, a potem praca zawodowa?

MB: Gdy podjęłam decyzję o studiach psychologicznych, wiedziałam już, że jestem na właściwej drodze. Podążam nią już ponad 40 lat jako psycholog kliniczny dziecięcy, naukowiec, nauczyciel akademicki, a także jako działacz społeczny, gdyż założyłam Polskie Towarzystwo Dysleksji, zrzeszone w Europejskim Towarzystwie Dysleksji, i... absolutnie mi się nie nudzi. Wręcz przeciwnie – jestem bardzo ciekawska i dlatego stale zerkam, co znajduje się za kolejnym zakrętem. Ta ciekawość świata i ludzi stale mi na tej drodze towarzyszy.

KMB: Czy Twoje wybory zawodowe i naukowe byłyby takie same? Czy ponownie zajęłabyś się psychologią kliniczną dziecka?

MB: Jestem pewna, że moje doświadczenia z okresu dzieciństwa i adolescencji doprowadziłyby mnie ponownie do psychologii klinicznej dziecka. Natomiast trudno mi odpowiedzieć, czy zajęłabym się problematyką specyficznych trudności w uczeniu się. Ciekawość innych ludzi i ich losów cechowała mnie już w szkole podstawowej, gdy z moimi przyjaciółkami godzinami dyskutowaliśmy o życiu i cechach osobowości Ani z Zielonego Wzgórza, opisanych w kolejnych tomach powieści Lucy Maud Montgomery. Historia Ani uwzględniła paradygmat *life long span*, czyli ujmowania rozwoju człowieka w ciągu całego życia. Godzinami analizowaliśmy nagrobki na cmentarzu, znajdującym się w sąsiedztwie naszej szkoły podstawowej. Czyż zbierając wywiady i prowadząc rozmowy z badanymi, nie czynię tego samego? Godzinami też wędrowaliśmy po okolicznych łąkach, wzgórzach, lasach, odkrywając nowe zakątki, zanim trafiłyśmy do domu. Czyż nie jeżdżę nieustannie po całym kraju i często poza jego granicami, wygłaszając referaty na konferencjach, prowadząc szkolenia?

Jak widać, ludzie nie zmieniają się tak bardzo. Alfred Adler miał rację, widząc ogromną wartość diagnostyczną w poznawaniu „linii życiowej” pacjenta.

KMB: I zajęłabyś się dysleksją?

MB: Nie wiem, ponieważ to dysleksja kazała mi się nią zajmować. A właściwie dzieci z problemem dysleksji, dlatego czasem mówię o sobie, że jestem od „brzydkich kaczątek”. Gdy po skończeniu studiów wróciłam z Krakowa do Gdańska i podjęłam pracę w Poradni Nerwic dla Dzieci i Młodzieży, w Wojewódzkiej Przychodni Higieny Szkolnej, pojawiły się u mnie, wraz z rodzicami, właśnie takie dzieci. Nie potrafiły opanować „tak prostej rzeczy”, jak mi się wtedy wydawało, jaką jest czytanie i pisanie. Sądziłam, że są opóźnione w rozwoju umysłowym. Jakie było moje zdziwienie, gdy nie potwierdzały tego wyniki mojego badania. Nie rozumiałam, o co tu chodzi, bowiem w badaniach inteligencji uzyskiwały wyniki co najmniej przeciętne lub wysokie. Przeżyłam wówczas „dysonans”, a może „szok poznawczy”, który stał się dla mnie motywacją do stawiania sobie pytań: dlaczego? co jest przyczyną? jak badać? i przede wszystkim: jak pomagać? jakie możliwości i mocne strony mają ci uczniowie oraz jakie powinni mieć prawa? Poszukując odpowiedzi na te pytania, częściowo odnalazłam je w moich doświadczeniach z ostatnich lat studiów. W ramach pracy magisterskiej wymyśliłam sobie następujący eksperyment: prowadziłam indywidualnie przez okres 2–3 lat dziesięcioro dzieci, które miały problemy z nauką, pomimo dobrej inteligencji. Uczniowie ci mieli poważne zaburzenia emocjonalne: jedno z nich planowało, a drugie podjęło nieudaną próbę samobójczą. Ile spośród tych dzieci miało specyficzne trudności w uczeniu się – nie wiem. O takich problemach na studiach nie słyszeliśmy. Były wówczas nieznane.

KMB: Wymień, proszę, swoich pierwszych mentorów.

MB: Jestem samoukiem i cały czas się uczę, poszukując odpowiedzi na pytania, dlaczego te inteligentne dzieci nie potrafią czytać i pisać oraz jak im skutecznie pomagać. Dochodzenie do tej wiedzy na pewno zawdzięczam wielu nauczycielom. Podczas studiów profesor Jan Kreiner przy pomocy tablicy i kilku kolorowych kawałków kredy wprowadzał nas w fascynujący świat budowy i pracy mózgu. Profesor Antoni Kępiński, psychiatra – filozof, dawał przykład właściwej postawy wobec pacjenta: jak go rozumieć i mu pomagać, szanując jego indywidualność. Profesor Zenomena Płużek uczyła nas, jak diagnozować inteligencję i organiczne zmiany w OUN. W zgłębianiu wiedzy o dysleksji pomogły mi publikacje profesor Haliny Spionek, a przede wszystkim prace naukowe, narzędzia badawcze i sam osobiście profesor Zdenek Matějček z Pragi. Nieoceniona była jego pomoc w otwarciu mi „okna na świat” wiedzy o dysleksji i umożliwienie kontaktów nie tylko z literaturą

przedmiotu, ale i z osobami, które prowadząc badania, budowały tę wiedzę. Udział w kolejnych światowych kongresach i zagranicznych konferencjach poświęconych problematyce dysleksji umożliwił mi w czasach izolacji Polski od świata zorientowanie się w stanie aktualnej wiedzy. Pozwolił na osobiste poznanie tak wybitnych naukowców, jak Norman Geschwind, Albert Galaburda, Artur Benton, Izabela Liberman, Dirk Bakker, Angela Fawcett, George Pavlidis, Doris Johnson, Margaret Newton, Mary Haslum oraz praktyków, jak Helen Irlen i Colin Stevenson.

KMB: Stale pytana jestem o to, w jakim stopniu moje trudności w nauce w szkole wpłynęły na Twoje wybory zawodowe. Innymi słowy: ludzi ciekawi, czy moja dysleksja w jakimkolwiek stopniu Cię zainspirowała? Myślę, że to pytanie powinno być adresowane raczej do Ciebie.

MB: Dysleksją zaczęłam się zajmować zanim się urodziłam. Już na przełomie 1966–1967 roku, gdy podjęłam pracę zawodową, musiałam się dowiedzieć, co to jest dysleksja, czy i jak można w tych przypadkach pomagać, bo przychodziły do mnie do poradni takie „dziwne” dzieci: niby mądre – a niemądre, niby słyszą – a nie słyszą, niby widzą – a nie widzą, niby bez uszkodzeń narządów ruchu – a „niezgrabny”. Dostrzeżenie tych paradoksów doprowadziło mnie do osobistego odkrycia, że istnieje dysleksja, dysortografia i dysgrafia. Angielski lekarz W. Pringle Morgan, 70 lat wcześniej, w oparciu o podobne doświadczenie odkrył dysleksję rozwojową. W 1896 roku opublikował przypadek 14-letniego inteligentnego chłopca, który nie potrafił nauczyć się czytać i pisać, nawet pisząc swoje imię, przestawiał litery. Odkrycie paradoksu w obydwu przypadkach stało się źródłem wiedzy. Dla mnie było zapowiedzią wielkiej przygody – początkowo zawodowej, gdy pracowałam wyłącznie w poradni, potem naukowej, gdy przeszłam do Instytutu Psychologii Uniwersytetu Gdańskiego. Pracując w interdyscyplinarnym zespole poradni, szczególnie od mojej „szefowej” prof. dr hab. n. med. Hanny Jaklewicz – wybitnego psychiatry dziecięcego, uczyłam się psychopatologii i psychologii klinicznej dziecka w praktyce. Tam też od moich pacjentów i ich rodziców zdobywałam wiedzę na temat dysleksji rozwojowej. Nie przypuszczałam, że nastąpi też okres, w którym będą mi dane osobiste doświadczenia w dziedzinie specyficznych trudności w uczeniu się. Wiadomo, że „szewc bez butów chodzi”, lecz nikt nigdy tego nie planuje. Dzięki Tobie poznałam nową twarz dysleksji, chociaż po kilkunastu latach codziennych doświadczeń zawodowych myślałam, że już dobrze znam te problemy. Nic bardziej mylnego. Przede wszystkim dowiedziałam się o emocjach dziecka i jego rodziców. Nie dlatego, że byłam obojętna na problemy moich pacjentów. Absolutnie nie, bo ich trudności dostrzegałam, ich przykrości współodczuwałam. Jednak mnie one nie bolały, nie przyprawiły o łzy, poczucie kompletnej bezsilności, a niekiedy nawet wściekłości.

KMB: W tym miejscu narzuca mi się żartobliwe powiedzenie, że jednym z najcenniejszych talentów człowieka jest umiejętność wybrania sobie właściwych rodziców. Trzeba przyznać, że w tej kwestii naprawdę nie zawiodła mnie intuicja.

MB: Dzięki temu, że wiedziałas, gdzie się urodzić, mogłam u Ciebie już w wieku przedszkolnym rozpoznać przejawy ryzyka dysleksji, co później zaowocowało opracowaniem przesiewowej metody diagnostycznej: Skali Ryzyka Dysleksji. Cały rok poprzedzający pójście do szkoły oraz kolejne 4 lata pracowałyśmy rzetelnie, oczywiście w formie zabaw i ćwiczeń. Sama rozumiesz, co czułam, gdy w środku rzekomo szalenie ciekawej zabawy, z samodzielnie wykonanymi pomocami, bo wówczas trzeba było wszystkie pomoce wykonać ręcznie, mówiłaś z zazdrością: „O, Ewa... już na podwórku”. A potem, gdy wyjaśniłam, że mama Ewy nie ma czasu, żeby się z nią bawić, mówiłaś: „No tak, ale ona nie musi tego robić!”. A dalej, odczytując rozczarowanie i lęk w Twoim głosie, słyszałam: „A ona i tak dostanie lepszy stopień”. W takich chwilach zasłaniałam twarz podręcznikiem do klasy „0” Przyłubskich, żebyś nie widziała moich łez. Poszukując możliwości dowartościowania swojego dyslektycznego dziecka, zaakceptowaliśmy z Twoim ojcem propozycję zapisania Cię do szkoły sportowej. To była świetna decyzja, bo trafiałaś do „pierwszej dziesiątki” w międzyszkolnych olimpiadach w biegach i pływaniu. Gdy w klasie czwartej okazałaś, że wolisz czytać, niż chodzić na treningi, ucieszyliśmy się i uznaliśmy, że terapia była skuteczna. Po latach wiem, że te nasze trudne doświadczenia były bezcenne. Nie tylko przydały się Tobie, przydają się moim podopiecznym, a także w mojej działalności naukowej i społecznej. Jednakże nikomu ich nie życzę.

KMB: Co uważasz za swoje największe osiągnięcie na polu naukowym i zawodowym?

MB: To bardzo trudne pytanie, które skłania do bilansu życiowego, a ten jawi się nam jako stale niedokończony, niepełny, niezamknięty *Gestalt*. W końcu z reguły nieustannie „gonimy króliczka”, zamiast „złapać go”. Każdy artykuł, książkę piszemy w napięciu i nadziei, że będzie najlepszy z dotychczasowych, przeżywamy chwilę zachwyty, gdy się ukaże, a potem... potem nam to mija, myślimy o nim bez szczególnych emocji: jest dobry i tyle. I... szukamy kolejnych inspiracji, pewni, że „to jeszcze nie było TO”.

Za moje największe osiągnięcie życiowe chyba mogę uznać fakt, że wiedza o dysleksji „trafiła pod strzechy”, choć wiem, że przyczyniło się do tego nie tylko 47 lat mojej działalności. Świadomość istnienia dysleksji zawdzięczam przede wszystkim ludziom, którzy w 1990 roku zaufali mi i wspólnie ze mną stworzyli skutecznie działający ruch społeczny: Polskie Towarzystwo Dysleksji.

Znaleźli się tam wszyscy, których dotyczył ten problem: nie tylko rodzice uczniów dyslektycznych, lecz także ich nauczyciele, terapeuci pedagogiczni oraz naukowcy. W pewnym okresie było to kilka tysięcy członków w ponad 90 oddziałach w całym kraju. Dlatego przez 20 lat udało się nam razem tak wiele osiągnąć w popularyzowaniu wiedzy o specyficznych trudnościach w uczeniu się i tak wiele praw wywalczyć w celu dostosowania wymagań i systemu oceniania tych uczniów. Nasze działania zaowocowały wprowadzeniem od 1999 roku wielu ważnych zmian w kolejnych Rozporządzeniach Ministerstwa Edukacji Narodowej. Zobowiązywały one nauczyciela do respektowania wskazań zawartych w opinii z poradni psychologiczno-pedagogicznej, do dostosowania oceniania i wymagań do możliwości ucznia ze specyficznymi trudnościami w uczeniu się także na egzaminach zewnętrznych (łącznie z maturą). Pozwoliły, aby uczeń z głębokim stopniem dysleksji nie musiał uczyć się obowiązkowo dwóch języków obcych, a terapeuci pedagogiczni zostali uznani za specjalistów szkolnych. To są bezpośrednie, konkretne reakcje MEN na nasze postulaty. Będąc 9 lat wiceprzewodniczącą Europejskiego Towarzystwa Dysleksji, udało mi się ustanowić Tydzień Świadomości Dysleksji we wszystkich krajach członkowskich Europy, który wcześniej był realizowany wyłącznie w Anglii. Okazało się też, że mam zdolność „zarażania” innych, dzięki czemu udało mi się znaleźć właściwe osoby, które doprowadziły do powstania w ramach Europejskiego Towarzystwa Dysleksji krajowych stowarzyszeń dysleksji: w Czechach, na Litwie i w Rosji.

Myslę, że do ważnych osiągnięć należy to, iż przeszkoliłam wiele osób w dziedzinie dysleksji, leworęczności, Ruchu Rozwijającego Weroniki Sherborne i Metody Dobrego Startu. Pierwsze szkolenia na temat specyficznych trudności w czytaniu i pisaniu zaczęłam prowadzić już w roku 1967 w mojej poradni, w ramach Sekcji Psychologii Klinicznej Dziecka Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, przy pełnej akceptacji kierowniczkii mojej poradni prof. dr hab. n. med. Hanny Jaklewicz. Z czasem nasza Poradnia Nerwic dla Dzieci i Młodzieży w Gdańsku zaczęła specjalizować się w tej problematyce, i nie tylko prowadzić diagnozę i terapię specyficznych trudności w czytaniu i pisaniu, lecz również pierwsze regularne kursy na ten temat dla pracowników poradni i nauczycieli. Zespół naszej poradni podjął, jak dotąd unikatowe, badania nad częstością występowania dysleksji (w klasach czwartych w mieście i na wsi), a następnie przeniósł się do powstałego w 1970 roku Uniwersytetu Gdańskiego. Od początku działalności studiów podyplomowych na temat specyficznych trudności w uczeniu się w wielu wyższych uczelniach humanistycznych wspieram je swoimi wykładami, co jest powiązane z podróżami po całym kraju. Moje peregrynacje to również poznawanie i uczenie się od innych.

Moja działalność naukowa tradycyjnie obejmuje badania i publikacje, które otwiera artykuł z 1969 roku. Ukazał się on w „Psychiatrii Polskiej”, a jego współautorkami były: dr Wirginia Loebel – pedagog oraz prof. dr hab. n. med. Hanna Jaklewicz – psychiatra dziecięcy, z której inicjatywy powstała ta publikacja. Myślę, że do moich zasług w tym obszarze należy wprowadzenie do polskiej literatury przedmiotu wielu terminów ułatwiających komunikację, szczególnie między naukowcami i profesjonalistami oraz rodzicami. Są to takie terminy, jak: dynamika rozwoju psychoruchowego; dysortografia jako element sekwencji pojęć: dysleksja, dysortografia i dysgrafia (według Z. Matějčka); ryzyko dysleksji, dziecko ryzyka dysleksji (odpowiadające terminom w literaturze anglojęzycznej); integracja percepcyjno-motoryczna; dynamika symptomów dysleksji; ćwiczenia ruchowo-słuchowe i ruchowo-słuchowo-wzrokowe; funkcje słuchowo-językowe; częściowo skompensowana dysleksja (według literatury anglojęzycznej); a także „dziecięce masażyki”. W latach 2008–2013, dzięki pracy z zespołem moich koleżanek – współpracowników, byłych studentów, wychowanków, doktorantów, powstał pierwszy w Polsce wystandaryzowany i znormalizowany, kompletny zestaw narzędzi do diagnozy dysleksji, dysortografii i dysgrafii, obejmujący metody badania dzieci od 5–6 roku życia do gimnazjum włącznie, opracowany w Pracowni Testów Psychologicznych w Warszawie oraz w Pracowni Testów Psychologicznych i Pedagogicznych w Gdańsku.

Mam satysfakcję, że moja książka *Leworęczność u dzieci w przeszłości* przyczyniła się do zmiany postawy wobec kwestii przeuczania „na siłę” leworęcznych dzieci na prawą rękę. Zeszyty ćwiczeń *Ręka lewa rysuje i pisze* oraz zeszyt z ukośną liniaturą, opracowane z Małgorzatą Rożyńską, nadal pomagają leworęcznym dzieciom w przygotowaniu się do szkoły i w nauce pisania.

Dla wspomagania rozwoju dzieci, przygotowania ich do nauki szkolnej, uczenia się liter i cyfr oraz terapii zaburzeń rozwojowych opracowałam, zachęcana przez Profesor Hannę Jaklewicz, Metodę Dobrego Startu. W zasadzie od lat 60. stale pracuję nad kolejnymi programami do tej metody, które powstają przede wszystkim we współpracy z Małgorzatą Barańską i Ewą Jakacką. W ponad 40-letniej historii rozwoju Metody Dobrego Startu powstały dwa podręczniki i trzy wersje oraz kilkanaście programów. Są to konkretne materiały do pracy z dziećmi w różnych grupach wiekowych i z różnymi problemami, jak opóźnienie rozwoju mowy, ryzyko dysleksji. Metoda Dobrego Startu weszła do kanonu metod służących wspomaganianiu rozwoju psychomotorycznego, jest przedmiotem zajęć dydaktycznych dla pedagogów i nauczycieli na wyższych uczelniach. Powstają „Przedszkola Dobrego Startu”, gdzie stosuje się tę metodę, a kursy MDS cieszą się dużym zainteresowaniem.

Podobne zainteresowanie budzi Metoda Ruchu Rozwijającego. Za osiągnięcie uznaję to, że podręcznik, napisany wraz z Bożeną Kisiel i Marią Przasnyską, *Metoda Weroniki Sherborne we wspomaganiu rozwoju i terapii dziecka* oraz kolejne publikacje książkowe wydane we współautorstwie z Dariuszem Okrzesikiem i Alicją Kasicą, jak i regularne szkolenia sprawiły, że ta metoda upowszechniła się w Polsce i jest przedmiotem zajęć dydaktycznych na wyższych uczelniach.

Zupełnie innego rodzaju osiągnięciem jest opracowanie filmów dydaktycznych. Jako autorka lub współautorka scenariuszy i komentarzy korzystam z tych filmów w pracy dydaktycznej. Dotyczą one Metody Dobrego Startu i Metody Ruchu Rozwijającego. Przygotowałam też polską wersję językową do angielskich filmów na temat problemu dysleksji. Obecnie, wraz z dr Martą Łockiewicz i Tobą, przygotowujemy film w języku angielskim „Good Start Method for English” jako efekt modyfikacji Metody Dobrego Startu w celu jej stosowania do nauki języka angielskiego i osiągania gotowości szkolnej przez dzieci 5–6-letnie, szczególnie dzieci ryzyka dysleksji.

Dzieci niepełnosprawne uhonorowały mnie Orderem Uśmiechu, a ja myślę, że dla nich zrobiłam najmniej... Nadal pozostaje wiele zadań do wykonania, odpowiadających ich potrzebom.

Jak widać, nie umiem zgrabnie odpowiedzieć na pytanie o to, co uważam za najważniejsze osiągnięcie. Możliwe, że największym moim osiągnięciem jest to, że naukę udaje mi się przetłumaczyć na język praktyki, dostarczając konkretnych narzędzi psychologom, pedagogom, rodzicom, którzy potrafią to wykorzystać dla dobra własnych i cudzych dzieci.

KMB: A jakie są Twoje marzenia zawodowe?

MB: Moim spełnionym marzeniem jest to, że grono „moich” wypromowanych 22 doktorów, a także „adoptowanych”, w tym moja własna córka, rozwijają się znakomicie, uprawiając naukę lub pracę zawodową. Kilku z nich osiągnęło pozycje profesora uczelnianego i tytularnego lub stworzyło i prowadzi instytucje na poziomie ogólnopolskim, a także światowym. Patrząc z radością na ich wysokie kompetencje naukowe, językowe, wiedzę w dziedzinie metodologii i sprawność w posługiwaniu się narzędziami statystycznymi. Przede wszystkim podziwiam ich łatwość komunikacji ze światem, odważne marzenia o przyszłości i ich skuteczne realizowanie. Pragnę, aby czynili dalsze postępy na wybranej drodze, aby pełni entuzjazmu czerpali z tego satysfakcję i radość.

Także spełnionym marzeniem są osiągnięcia Polskiego Towarzystwa Dysleksji, które miało upowszechnić wiedzę o dysleksji i to się stało. Myślę, że obecnie jest konsultantem, a w przyszłości być może stanie się partnerem MEN

w rozstrzygnięciu problemów związanych z uczniami ze specyficznymi trudnościami w uczeniu się.

KMB: A Ty sama, co chciałabyś jeszcze zrobić?

MB: Chciałabym dokończyć rozpoczęte książki, które leżą na moich półkach. Nie wiem, czy to się stanie, bo jednak mam naturę „nauczyciela – wędrowcy”.

KMB: Dziękuję za rozmowę, Mamo.